Profesor Wacław Radziwonowicz

Wspomnienie Tadeusza Cyrana, absolwenta z 1931 r.

Nie pamiętam, jaka była przyczyna popołudniowych lekcji historii w klasie VIII. być może były to lekcje programowe, które z nieznanych nam powodów nie mogły odbywać się we właściwych godzinach, lub może z dobrej woli profesora były formą dodatkowych, przedmaturalnych zastrzyków wiadomości, jako że klasa w tej materii najmocniejszą nie była.

W każdym razie zajęcia były obowiązkowe.

Historyk, prof. Radziwonowicz, zwany „Kitajcem", mieszkał z rodziną na terenie gimnazjum. Okna jego mieszkania widoczne były z naszej klasy i byli nawet koledzy, którzy wytrwale śledzili kulisy ogniska domowego historyka i o każdej porze dnia byli w stanie dokładnie informować, co się w danej chwili w mieszkaniu profesora dzieje. Interesujące to było zwłaszcza, gdy zbieraliśmy się na owe popołudniowe zajęcia.

Profesor często się spóźniał. Oczekując na niego, różnie wykorzystywano czas. Poza oczywiście obowiązkowym podpatrywaniem, opowiadano sobie dowcipy, lecz zdarzało się również, że przepytywano się wzajemnie, a zwłaszcza udzielano sobie cennych wskazówek, jak wyślizgnąć się w trudniejszych sytuacjach.

Profesor (jak zresztą większość z nich) miał swego „konika". O ile mniejszą wagę przywiązywał do pamięciowego opanowywania dat, o tyle twardo wymagał znajomości terenu, gdzie rozgrywały się aktualne tematycznie zjawiska dziejowe. A więc mapy, granice terytoriów, położenie miejscowości historycznych e.c.t. ignorancja tych zagadnień często dyskwalifikowała ucznia zanim zdążył popisać się elokwencją w wykazaniu znajomości tematu od strony fabularnej.

Otóż co do map, niezawodnym sposobem była pewność siebie. Jeśli zapytany, na przykład, o Kartaginę, szedł ku mapie pewnym krokiem i z góry przygotowanym, wyciągniętym palcem wskazującym, bez namysłu wskazywał żądaną miejscowość, to wracał na miejsce zwycięski. Obojętne było, czy palec wylądował w Egipcie, Grecji czy nawet Macedonii, Kitaj najczęściej wcale nie patrzył. Interesował się tylko chwiejnymi i nie znosił braku decyzji. Z wyraźnym niesmakiem obserwował ucznia, usiłującego posłużyć się figurującymi na mapie napisami. i rzeczywiście, małe były wtedy szanse powodzenia.

Nawiasem wspomnę, że sam byłem w tych dotkliwych eksperymentach na ogół pomijany. Ponieważ powszechnie uchodziłem za posiadającego zdolności rysunkowe i lubiłem to zajęcie, między innymi na polecenie profesora powiększałem z podręczników na formaty ścienne aktualne wycinki map historycznych. (Sporo się tego w szkole nawet uzbierało.) Zrozumiałe więc, że Kitaj mnie oszczędzał. Niektórzy koledzy żywili do mnie z tego tytułu cichą urazę, że te moje mapy były dodatkowym orężem w ręku i tak dostatecznie wymagającego profesora.

Na jedną z takich właśnie popołudniowych lekcji klasa stawiła się niemal w komplecie. Było jakoś wyjątkowo beztrosko. Z zainteresowaniem obserwowaliśmy cienie snujące się na zasłonach okiennych znanego nam mieszkanka, komentując te manewry w sposób na ogół

dowcipny, lecz miejscami nieubłagany. Fachowcy twierdzili, że pani profesorowa właśnie rozbija jaja o patelnię. Było wesoło.

Minęło około piętnastu minut, a profesor nie nadchodził. Nie byliśmy tym specjalnie przygnębieni, ale może warto by coś zaimprowizować? Ktoś pomysłowy rzucił: „Jak można tak nie szanować cudzego czasu? Idziemy do domu!!!”

Oczywiście tak rozsądny wniosek przyjęto przez aklamację. Tylko, że jak to tak odejść? ... z niczym ... Wykaligrafowaliśmy więc na tablicy duży napis: „Obecni na historii w dniu ... byli: ” Pod spodem nastąpiły podpisy wszystkich obecnych.

Pamiętam, że składałem podpis z uczuciem wstydu z racji tak jaskrawego braku lojalności, połączonego jednak z niesmakiem, jaki wywoływało niejasne poczucie krzywdy wyrządzanej poczciwemu Kitajcowi.

Rozeszliśmy się w nastroju podniosłym.

Konsekwencji nie było. Kitajec nigdy o tym nie wspominał. My też. Nadal jednak bywał punktualniejszy.